



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEC.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

## ŚWIĘTA W RODZINIE.

Do najśladzich wspomnień, które człowiek z lat młodzieńczych w życie sobie unosi, należą wspomnienia uroczystości świątecznych w domu rodzicielskim. Rodzice, rodzeństwo, sługi dawne — drogie kąty stare występują nam przed oczy i w zwierciadle tem czarodziejskiem widzimy własną naszą postać: świeżą jak kwiateczek wiosenny, niewinną, życia nieznaną i życiem zadziwioną — odczuwamy wrażenia, wzruszenia wtedy przebyte, mając już nieraz siwiejący włos u skroni. Komu takich wspomnień braknie, temu zbrakło w wyposażeniu życia rzeczy bardzo cennej, bo są to życia tego pierwsze uciechy, pierwsze radości, i ztąd, powiedzieć można, niczem niezastąpione. W najuboższym domku, w chacie pod słomianą strzechą mają one wagę zupełnie takąsamą, jak w pałacu, bo punkt ciężkości pada tu, nie na okoliczności życia zewnętrzne, ale na ten promień światła, który na nie skierowujemy — na poezję świętą, w powszedniość życia wprowadzoną. Kobieta: matka rodziny, domu naczelniczka, jest tu osobą działającą przeważnie; jej to dział, jej przywilej i spospolitowana przez zbyteczne nią szafowanie nazwa kapłanki domowego ogniska tu jej przypada w całości. Rozżarza ona iskrę, która uświęca serca — iskrę, która serca te grzeje, bo człowiek jako dziecko kocha się uczy i kto miał smutne, posępne, zaniedbane dzieciństwo, komu w tem dzieciństwie serca miłostnie nie wzruszono, ten całe życie będzie głazem zimnym, i tak-to wyrabiają się samoluby, tak się tworzą ludzie z sercem twardem, do wzruszeń, uniesień, zachwyty uczucia niezdolni.

Są to ludzie wydziedziczeni z najśladzich radości życia — z pociech jego najdroższych, które mogą „świat nam wziąć i za świat wystarczyć.“ Nie trzeba być na to poetą, aby tak czuć. W chłopskiej chacie, w izdebce stróża pod schodami tak bywa. Matka, kołysząc dziecko, śpiewa: „Spij moje złoto...“ mąż nazywa żonę: „moja“, żona mówi o mężu: „mój“, czując wzajemnie, że są sobie własnością życia najpierwszą i najdroższą, skarbem jego najszacowniejszym. Kto w wychowanie nie wprowadzi pierwiastku uczucia, uboży dziecko swoje najciężej, obiera je najokrutniej ze zdolności stworzenia sobie w życiu szczęścia, opartego na jego podstawach naturalnych i niezawisłych już od losu, od okoliczności; bo coś ukochać, coś drogiem w życiu sobie uczynić może każda istota ludzka. Matka jest tu pierwszą nauczycielką, a nie potrzebuje na tę naukę łożę nie więcej nad to, co jest własnego serca potrzebą: kochająca daje dziecku przez wychowywanie go miłostnie tkliwe to, co serce mu ogrzewa i co potem za człowiekiem idzie w świat szeroki, jako słodkie wspomnienie domowego ogniska i wrażeń tam doznanych.

Wśród tych wspomnień, wśród szczegółów młodych lat życia uroczystości świąteczne zajmują miejsce niemałe. Pragnę też całym sercem, aby w każde święto, tradycyjnie uroczyste, tkliwość kobiety rozjaśniała uroczystości tej blaskiem życie rodzinne. Tak mąż, jak dziecko, mają prawo wymagać tego od niej i jest to częścią jej obowiązków, aby tak było. Łuk, ciągle wyprężony, pęka — człowiek który nie samym chlebem żyje, potrzebuje, aby jakiś ciepły promień światła rozjaśnił mu czasami szarą dolę jego życia. Gdzie jest kobieta uczuciowa, z trochę poezji w sercu, tam bywa tak niezawodnie, bo własnego uczucia potrzeba upomina się u niej o to; przecież trudniejsze warunki nowoczesnego życia — nowoczesny zbytek i jego wykwinaty wpływ — bardzo na zmianę obyczajów pod względem

obchodzenia świąt, tradycyjnie gromadzących rodzinę i przyjaciół. Można przecież nakazów ekonomii domowej nie przekroczyć i miłemu, dobremu, na potrzeby serca ugruntowanemu zwyczajowi zadosyć uczynić. — Chlebem, solą, dobrą wolą, ludzie ludzi niewolą... i ten tylko, kto jest próżnym, kto zadowolenie czerpie nie ztąd, aby grono miłych sobie ludzi w dniu świątecznym wkoło siebie zgromadzone widział — aby im przyjazny uścisk dłoni swej dał, przyjazny uścisk dłoni ich wziął, ale w paradyzie pysznie rozwiniętego zbytku, ten tylko z wyrachowań oszczędności skazuje się na odosobnienie w tej chwili uroczystej, w której przez słodkie nawyki przeszłości; rodzinnej każdy z nas czuje potrzebę miłostnie sobie oblicza widzieć, miłostnie sobie gromadce ludzi powiedzieć: — Daj wam, Boże, szczęście!

A jak smutno, jak smutno jest wtedy, gdy tego braknie! gdy dzień uroczysty nie różni się niczem od pasma szarej przędzy powszedniego istnienia! Jest obowiązkiem chrześcijańskiej miłostki bliźniego pamiętać w dniu tym, że są na świecie sieroty, że są ludzie smutni, bo samotni, i dłoń życzliwą do nich wyciągnąć, w przełamaniu z niemi opłatku komunii bratniego uczucia przyjąć. Jeżeli w domu, gdzie taki chrześcijański obyczaj się zachowuje, rośnie dziecko, będzie się dlań zawierać w tym jednym przykładzie dobroci serca rodziców nauka życia lepsza, niż gdyby mu kazano tysiące traktatów o miłostki bliźniego na pamięć się wyuczyć.

Nie znaczy to przecież, aby dobra książka nie potrzebowała podpierać w umyśle młodym tego, co mu praktyka zanie pędzonego życia rodziców w przykładzie dobrym przed oczy stawia. Dla starszego dziecka najlepszym podarunkiem, jaki *Gwiazdka* przynieść może, jest zawsze książka; młodsze, ucieszy się zabawką: lalką, konikiem; ale i tu, tak niemal, jak przy książce, wybór jest potrzebny. Przemysł nowoczesny, żądzą zysku gnany, już i tu pola zarobku sobie szuka



i na słabości ludzkie poluje; zabawka staje się coraz wykwinniejszą, staje się zbytkowną, więc psuje dziecko, smak mu wykrzywia i pojęcie piękna z rzeczą zbytkowną jednoczy. Na wystawie paryzkiej lalka doszła do takiej strojności, że prasa zwróciła na to uwagę i francuzki *Przegląd pedagogiczny* uznał za rzecz potrzebną podnieść tu protest i dać rodzicom ostrzeżenie, które i u nas już od lat kilku zaczyna być równie potrzebnym, jak o tem świadczy niejedna lalka, zpoza szyb sklepów wyglądająca—kuszająca oczy dziewcynek nowomodną toaletą wytwornej strojnicy. Rozsądny ojciec, poważnie na życie patrząca matka, zapewne takiej lalki dziecku swemu na *Gwiazdkę* nie da; zawsze przecież warto jest dla naszego użytku powtórzyć, co francuzki pedagog, H. Durand, w tym przedmiocie pisze:

„Zabawka nie potrzebuje być, biorąc rzecz ściśle, professorem moralności, ale niechże nie wnosi w rodziny nauki innego rodzaju, przeciwnej temu, co mówi się dziecku w szkole i u ogniska domowego“. Więc też ci, co u tego ogniska czuwają, straż nad dzieckiem sprawując, matka szczególnie, niech tu takiej rzeczy, dziecko psującej dostać się nie pozwala, jeżeli by to był jakiś podarunek kolendowy, nierozważnie mu przez kogoś uczyniony. Nie dziś to dopiero ludzie wiedzą o tem, że zabawka może być dla dziecka złą lub dobrą przez nasuwanie młodej wyobraźni pewnych obrazów, przez skierowywanie młodej myśli na pewne przedmioty, w życiu się zaznaczające — na pewne życia strony. Na to, że zabawka może oddziaływać na estetyczne uczucie dziecka, zwrócili już dawno uwagę pedagogowie niemieccy, ganiąc brzydkich pajaców, poliszyneli z wielkimi nosami, bo przyzwyczajają to do brzydoty, która, gdy przedstawia się oczom naszym często, znieczula wzrok na to, co nas tu razi, przytępia więc uczucie piękna i osłabia zdolność odczuwania go w życiu, w naturze, w sztuce, więc zamyka przed nami źródło szlachetnego i podnoszącego używania. Francuzki moralista, Valtour, posuwa to dalej: widzi ujemne lub dodatnie wpływy na stan uczuć na kierunek młodej wyobraźni przez zabawkę wywierane i pisze: „Wielką wychowawczynią (éducatrice) dziewcząt, będzie zawsze laika“. Niech nam się przecież zdanie to nie wydaje przesadną czujnością edukacyjną, bo lalka to pierwszy ideał w młodzieńckim życiu dziewczątka wprowadzony. Strojna dama otwiera też przed dziewczęciami tego myśla tylko dwa kompartmenty życia: garderobę i salon; tam skierowywa się wyobraźnia młoda, tam tworzy ona dla lalki obrazy, w których dziewczę żyje samo przez wyobraźnię tej siły. Lalka jest codzienną towarzyszką, jest przyjaciółką i powierniczką dziewczęcia, matka dużo też dowiedzieć się może o kierunku rozwijających się skłonności dziecka, jeżeli będzie śledzić, jak się ono z lalką swoją bawi—kogo sobie w niej przedstawia.

Zabawka po połowie z książką oddziaływa na wyobraźnię młodą: jedna też i ta sama troskliwość pedagogiczna — jedna i ta sama myśl przewodnia, w wychowaniu całem czuwać tu powinna. Nie pomoże nie zgoła moral, od czasu do czasu na użytek dziecka wypowiedziany, jeżeli drugostronnie złym, psującym wpływom nie uważnie do dziecka przystąpić pozwolimy. Słowa ulatują, zwłaszcza jeżeli to, co dziecko w życiu otacza, kłam im zadaje; jeżeli walczy z niemi, i taki rozdwojony kierunek edukacyjny może tylko ziarno hypokryzyi w grunt młodego ducha zasiał. Życie rodziców, życia tego tryb podniosły lub poziomy, zawsze będzie stanowić głównie, zawsze będzie stanowić przeważnie o urabianiu się charakterów, o kształtowaniu się moralnej istoty dziecka. Matka zwłaszcza, matka ma tu nad dzieckiem swoim moc niemal wyroczną, decydującą o kierunku — o doli i niedoli bogdaj czy nie całego życia, którego fundamentem są wpływy, jakie pierwsza nasza młodość odbiera. Życie buduje się z nich i kiedy w doroczną uroczystość *Gwiazdy Chrystusowej*, rodziny i przyjaciół grono zbierze się koło stołu wigilijnego, życzymy sobie wzajemnie przy serdecznym rąk uścisku—czystości ducha, tkiwości serca i wiary w Boga, i miłości bliźniego. To niech nam i wszystkim lu-

dziom uczciwym przyniesie *gwiazdka* tego-rocza.

M. Ilnicka.

## Aloizy Żółkowski.

(Dokończenie)

Ten rozwój talentu Żółkowskiego był raczej ustalaniem się jego w bardzo licznych odmianach ludzkich rodzajowych, społecznych i towarzyskich, bez żadnego ograniczenia co do typów swoich lub obcych. Z równą doskonałością przedstawiał artysta pyszałkowatego dorobkowicza kosmopolite, jak francuzkiego margrabiego, sięgającego rodowodem aż do czternastego wieku, jak szlachcica polskiego na własnych śmieciach i w wielkiem mieście, lub starego kawalera, nad którym mści się prawo natury, dając mu babie lato ze łzami. Jego żyd, łączący pieniądze z rozumem, jest równie niedoścignionym w swej doskonałości, jak szewc upijający się na poddaszu. A jeżeli wierzyć możemy ludziom starym, nawet Cromwell Żółkowskiego jeszcze przed r. 1850 nosił na sobie wybitne piętno prawdy i powagi dziejowej, czego już, przy ogólnym książkowstręcie nieboszczyka, niczem innem, jenó odgadywaniem, każdemu wyższemu talentowi właściwem, wytłumaczyć sobie nie można. Z dwustu przeszło ról w dramacie potocznym i komedyi, wyższej i niższej, ogromna większość przypada na role wesołe, owiane humorem, na charaktery czyste, swobodnie żyjące, serdecznie dobre, niekiedy nawet *złote sercu* w późniejszym już wieku. Głównym żywiołem komizmu Żółkowskiego był właśnie ten organiczny ton humoru, jakim przejmował nawskroś swoje charaktery. Z artystów, których widziałem, żaden nie umiał tak przybierać oblicza swojego w uśmiech, tak go rozjaśniać i w rysach zewnętrznych dawać takiej symboliki duchowej.

Gdy teraz rozważymy, że człowiek ten, mało czytając, nigdy przez całe życie swoje, z wyjątkiem przejezdnych, żadnego artysty tej, co on sam miary, nie widział; że z Warszawy dwa razy tylko wychylił się na czas dłuższy; że ani teorii, ani wytwórstwa scenicznego w czynach znamienitszych nie znał; że np. we dworze szlacheckim, w którym na scenie taką prawdą zadziwiał, nigdy w rzeczywistości nie był; że połowy ról swoich ani z długiej *in concreto* obserwacji, ani ze studyów wziąć nie mógł: pojmiemy dopiero, jak wielką musiała w nim być ta rdzenna siła talentu, która się *intuicyją* nazywa. Zapewne, podpatrywał naturę, ale nie szukał i nie kopiował wzorków społecznych ani towarzyskich, pamiętając, że na tej łatwiejszej drodze swojej sztuka łatwo kulawieje, dochodząc raczej do przedrzeźniania, niż do odtwarzania natury. Rysy do ról potrzebne zbierał, nie z jednej umyślnie upatrzonej, ale z wielu różnych postaci, które się przed nim same w życiu przesunęły. Każde zjawisko zajmujące, charakterystyczne, odbijało się szybko w jego umyśle a utrzymywało silnie w artystycznej pamięci. Potrzeba dopiero otwierała zasobnią umiejętności, a wielkie poczucie miary i prawdy, specjalny, artyzmem kierujący rozum, układały pojedyncze rysy w syntezę, ustalały harmonią i pełnią w tym obrazie, który artysta w pierwszej wymalować sobie musiał, zanim do obmyślenia szczegółów roli przystąpił. Rola była dla niego, jakgdyby ów arystotelesowy posąg utajony w skale; potrzebował tylko odrzucić, co nie odpowiadało jej idealnemu obrazowi, aby ją na jaw sztuki swej wyprowadzić. Taką prawdopodobnie miał metodę działania, taką naturę, talent Żółkowskiego.

Przy doskonałej indywidualizacji, dającej rzetelne życie, ta metoda niosła w sobie już i typową wyrazistość tego obyczajowego pierwiastku, który w danym charakterze był panującym. Indywidua tem silniej stały, im głębiej tkwiły w ty-

pach, nie zlewając się jednak z niemi, aby żywotności swej nie utracić.

Prawdziwie, genialny artysta!

Pochodzi Żółkowski z rodziny artystycznej. Ojciec jego rodzice byli aktorami dramatycznymi. Ojciec, Aloizy Fortunat, urodzony w r. 1777 w Nowogrodzkiem jako syn znanego ziemianina, jest autorem *Momusa* i *Wyspy szczęśliwości*. Miał piękną młodość. Potem bieda zagnała go aż do Lwowa. Tu zobaczył Bogusławskiego z trupą; zapłonął miłością dla sceny i potajemnie przed rodziną, *per pedes apostolorum* podążył do Warszawy, gdzie miał stałe przedsiębiorstwo teatralne Bogusławski. Zostawszy aktorem, przez ćwierć wieku był ulubieńcem publiczności. Oznaczył się nietyle doskonałością sztuki, ile darem słowa, ożywionego niepospolitym, szybkiotnym, niez mordowanym dowcipem. Wojciech Bogusławski w dziejach teatru narodowego wspomina aż siedemdziesiąt cztery sztuki Żółkowskiego, bądź oryginalne, bądź tłómaczone, a przeważnie naśladowane. Jego dowcip miał być tak wielkim, iż ludzie dotknięci smutkami starali się choć kilka chwil z nim rozmawiać lub chodzili umyślnie do teatru, kiedy występował, aby się rozweselić, uważając to za najskuteczniejsze lekarstwo. Tak wielka przecież skuteczność lekarstwa wskazuje tylko, że sama znowu choroba nie bywała wielką. Umarł ten lekarz smutków ówczesnych we Wrześniu 1822 roku, pozostawiając wdowę urodzoną w Szczytnie na Pomorzu, Annę Ludwikę Ebbel, z dziećmi, a przy dzieciach, ze sprzętami środkami majątkowemi. Pierwsze lata swoje i pierwsze kroki na scenie sam artysta tak opisał w liście do Władysława Bogusławskiego:

„Urodziłem się w d. 4 Grudnia 1814 r. W roku 1822 straciłem mego kochanego ojca; opiekunami zostali Osieński i Dmuszewski. Matka dalej zajęła się mojem kształceniem. Byli nauczyciele; osobny do fortepianu. Do muzyki przykładałem się pilnie; nie spodziewałem się wówczas, że ona właśnie dopomoże mi bardzo. Oddany do szkół wojewódzkich księży Pijarów, zacząwszy od pierwszej klasy, skończyłem sześć w r. 1830. W czwartej tylko klasie byłem dwa lata z przyczyn choroby artrytycznej, która już wtenczas się objawiała. Mój ojciec cierpiał na nią; matka też po kilka miesięcy: odziedziczyłem ją, niestety. W r. 1831 matka, przerażona pogłoskami, że niejednaków będą brać do wojska, udała się do opiekunów naszych: Osieńskiego i Dmuszewskiego, prosząc o ratunek. Poradzono, ponieważ jestem muzykalnym, zahaczyć mnie tymczasem w chórach (teatr wówczas uwalniał od wojska), a jak się uspokoi wszystko, będę mógł uczęszczać do uniwersytetu, jak to było zaraz zamierzonym po ukończeniu szkół. Ale czas uchodził, a o uniwersytecie ani słycho. Śpiewałem tedy w chórach i jako statysta wychodziłem na scenę w różnych dramatach i komedjach, za co pobierałem zlot. 1 od wejścia. Później dyrektor Dmuszewski oznajmił mi, że jako opiekun podwyższa mi do 2 złotych. Radość moja była wielka: był to pierwszy mój zarobek. W Lipcu 1833 r. dano mi 90 złotych, bo już pogłoska chodziła, że wystąpię. Zdanowicz, grający Anglika w operze „Fra-Diavolo“, zachorował, a śpiewak Polkowski wraz, z dyrektorem opery Kurpińskim, znając moje zdolności muzyczne, zaproponowali wyuczenie się tej roli. Porwałem partycyę, przepisałem sam rolę, wyuczyłem się i wystąpiłem.“

Tak tedy wielki artysta dramatyczny zaczynał swój zawód od partyi Cokburna w operze Aubera! Było to d. 27 Października 1833 r. Podobał się, zyskał sobie uznanie Dmuszewskiego i Kurpińskiego. Dzwieczny głos barytonowy i wrodzona zdolność do sceny zrobiły swoje. Po pierwszej pomysłnej próbie miał przed sobą otwartą drogę śpiewaka komicznego. Wystąpił w dwudziestu operach, zawsze oklaskiwany, szczególnie jako Dandolo w „Zampie“ Herolda, ale występował bez przyszłości. Musiało się to raz skończyć. Zasługą Leontyny Halpertowej jest wydobyć go zpod jarzma Euterpy i wprowadzenie na drogę właściwą, którą była dla niego komedia. Na początek grywał wraz ze znakomitą artystką rolę kochanków. Zapamiętano z tych czasów



kilka ról jego wybitniejszych, jak w „Dlaczego?“ w „Familii Rikebourg“ i innych. Ale i teraz jeszcze nie był na drodze swych przeznaczeń. Zabył się Józefa Komorowskiego, jako amanta, któremu równego nie ma od lat trzydziestu scena warszawska, choć przecież nie jest ostatnią na świecie, dało Żółkowskiemu hasło do zupełnego wycofania się ze szranków miłości. Zyskały na tem role komiczne, poważne i lżejsze, a najbardziej typowemi w nich były charaktery w sztukach Fredry ojca. Wysoko już stanął był w rolach komicznych i wogóle rodzajowych, a ciągle jeszcze występował w „Napoju miłosnym“ i „Cyryku Sewilskim“ i prawie do śmierci grał jeszcze w „Hrabinie“ Podczaszyca, którego Moniuszko umyślnie dla niego był napisał. Równoległe z komedią szedł dramat wzruszający, lubiony przez owych ludzi dawnych, od których rozdzielają nas już dziś całe dwa pokolenia. Sam Żółkowski zapisuje we wspomnieniu powyższemu role swoje w „Wybawcy“ w „Zazdrości“, w „Piętnie hańby“, w „Mulacie“, w „Cezarze de Bazan“, w „Muszkietierach“ Dumasa. Pamiętam go jeszcze w „Nocy i Poranku“, w „Życiu Szulera“, w „Adryannie Lecouvreur“. Młodsze już pokolenie mogło go widzieć w „Marion de Lorme“ jako pysznie oddanego Ludwika XIII, a w epoce Modrzejowskiej w „Hamlecie“ jako Poloniusza. *Kuryer Warszawski*, który z wielkim pośpiechem i zabiegliwością zebrał liczne wiadomości o artyście i jego zawodzie, podaje wykaz dwustu trzydziestu wszelkiego rodzaju sztuk scenicznych, mówionych i śpiewanych, w których Żółkowski przez długie życie swoje wystąpił. Na same komedye przypada z tej liczby niewiele więcej stopięćdziesiąt. Obaj Fredrowie, starszy—za życia i po śmierci, znajdowali w Żółkowskim chętnego zawsze wykonawcę swych pomysłów. Łatka, Szambelan, Smakosz, Geldhab, Jeniakiewicz, Benet, Papkin — nieprędko wypełnią z pamięci ludzkiej. Łatwo sobie wystawić, że autorowie współcześni ubiegali się o względy, ba, nawet o łaski Żółkowskiego. Każda nowa komedya w Żółkowskim szukała dla siebie prawie nigdy nie zawodzącego pancerza bezpieczeństwa. Grał też chętnie do ostatniej chwili, a w swym *Hypnotyzmie* Fredry młodszego, przy którym śmierć go zaskoczyła, miał dać nowe arcydzieło.

W r. 1883 wyprawiono Żółkowskiemu świętym jubileusz dla upamiętnienia półwiekowej jego pracy na scenie; ale wspanialszy od jubileuszu miał artysta pogrzeb i całe to pośmiertne pożegnanie, jakiego dostępują w społeczeństwach cywilizowanych ludzie wybitniejsi, którzy ducha swego dla samych siebie nie wyżyli i mieli go dość na to, aby nim jeszcze drugich obdzielić. Nasza skłonność do pochlebstw za życia a pochwał po śmierci wobec tego ogromnego talentu, po którym widomie zostały tylko zwłoki śmiertelne nie potrzebowała z kryjówki swej wychodzić, aby godnie uczcić Żółkowskiego. Mogliśmy i szczerze żałować i poważnie słać zmarłego. Może ta i owa gazeta dopuściła się przesady; może, chcąc zebrać dużo wiadomości, zbrano zawiele, jak uczyniono np. z ogłoszeniem bezmyślnego dziennika; ale, że chciano wydobyć i powiedzieć jaknajwięcej—w tem było tylko spełnienie obowiązku dziennikarstwa, pojmowanego poeuropejsku.

Pogrzeb odbył się we Czwartek d. 28 Listopada. Pierwszy raz w nowoczesnej Warszawie paliły się na linii pochodu pogrzebowego latarnie gazowe. Przesadzono, podając liczbę obecnych na 120.000 ludzi, ale były w każdym razie tłumy wielkie, imponujące. Szedł i stał na ulicach lud całemi gromadami, a nie wszystkich w nim ściągnęła prosta tylko ciekawość ujżenia widowiska. Miło było słyszeć, jak jedni drugich naucałi, kto to był Żółkowski. Szczęśliwiec, któremu udało się choć kilka razy w życiu być na paradyzie i widzieć Żółkowskiego, był arystokratą w tym tłumie. W nastroju ogólnym przebijało się uczucie utraconego czegoś, co wszyscy swoim zarówno nazywać mieli prawo. Naszem też było to niepospolite zjawisko siły scenicznej.

Słowo Talmy, że artysta zapada w mrok z chwilą, gdy gaśnie dla niego światło kinkietów,—sprawdzi się i na Żółkowskim. Jest to nieunikniona konieczność: za życia rozgłos, jakiego nie-

ma w danem społeczeństwie żaden najwyższy geniusz, a po śmierci — rychłe zapomnienie, jakby o zwykłym filistrze. Sztuka aktorska, dając najsilniejszymi i najpowszechniejszymi wrażeniami, dopóki działa, — z chwilą, gdy ustanie, najslabszych nawet nie zostawia po sobie śladów. Dzieła jej cowieczór zamierają i cowieczór wracają do życia. Tylko literatura, odbijając w sobie ich przejawy, temsamem może złożyć o nich świadectwo i w ten sposób pamięć ich ocalić. Ale u nas grunt to twardy, opoczysty. Co się stało z Owińskim, z Truskolaską, z Leduchowską, z Werowskim, nawet z Halpertową, jeszcze żyjącą? Kto dziś wie co o ich artyzmie, o rodzaju i nateżeniu ich talentu, o metodzie gry, o zasobach psychofizycznych, o tem, czem każde z nich było na scenie i dla sceny? Bogusławski zostawił tylko mgliste zarysy charakterów artystycznych. Prawdopodobnie i Żółkowskiego rdza zapomnienia zeżre. Niechby mu chociaż postawiono popiersie marmurowe w foyer naszego teatru.

Stanisław Krzemiński.

## ADJUTANT KRÓLA JEGOMOŚCI.

OPOWIADANIE Z DRUGIEJ POŁOWY ZESZŁEGO STULECIA

napisał

Mieczysław Krzywośód—Kępieński.

(Dalszy ciąg).

Tak stały rzeczy, kiedy nareszcie nadszedł dzień wyprawy. Ciemno było jeszcze, a już się rozpoczęła straszna zawierucha — wicher, wyjął i jęcząc, niby potępieniec, miotał gwałtownie tumany śniegu, przez które zaledwie się przebić mogły szare brzaski dziennie; świat cały zdawał się zasuty szarawą pomroką, niby olbrzymim całunem, kryjącym wszystko dokoła w zwojach śnieżystego płaszcza.

Ścieżką od Żwierzyńca przez błonia krakowskie zdążył Pietrek; brnąc po kolana przez ogromne zasy, co chwila zapadał się w śniegu, przewracał się na twarz, ale dźwigał się znowu i całą siłą zdążył ochnocho ku sąsiedniej Woli.

Kiedy już był koło Sikornika<sup>1)</sup>, pokrytego lasem, dojrzał zdaleka trzech jeźdźców na dziarskich rumakach, zmierzających klusem w tym samym kierunku. Szary brzask dzienny, który się dopiero przedzierał przez wiszące chmury, nie dozwolił mu rozpoznać, co to byli za jedni; ale Pietrek nie w ciemnię bity, przytem pewny siebie, bo miał cedułę od kommandanta załogi w zanadrzu, nie uważał na nic, jeno odważnie postępował dalej. We wsi na folwarku zastał ruch niezwykły; krzątano się wszędzie, wytaczano wozy, smarowano osie, wynoszono słomę ze stodoł, którą wyszciano wozy; opodal koło karczmy snuło się kilku gwardyaków, przeciągając się i poziewając od wczesnego wstania. Wyczfiński uwijał się nie sporo pomiędzy wozami, hukał na parobków, naganiał ich niby, a coraz świeże znajdował przeszkody; to koń mu zakulał, to był źle podkuty, to się szprycha rozwiódła u koła, to znowu literatura nie mogła ciężaru utrzymać—widocznie tylko pozornie śpieszył a jaknajdłużej chciał powstrzymać wyjazd kilkunastu wozów, co już wytoczone na zaprząg czekały. Spozstrzegłszy zdaleka idącego Pietrka, uradował się niezmiernie i nie czekając, poskoczył ku niemu:

— Jeżeli z pismami—rzekł cicho—wynijdź poza ogród: zaraz tam przybędę.

Niedługo czekać potrzebował Pietrek: w kilka chwil zjawił się Wyczfiński.

— Co masz—dawał zaraz—rzekł pośpiesznie, zadyszany cały—niema do stracenia czasu, przejdź się tymczasem a ja śpieszę do domu.

Kiedy pan rządca zmierzał ku pokojom, Pietrek, zaciekawiony owem sposobieniem wozów, poszedł na folwark, by dostać języka. I tu stały także wyoszczone bryki, koło których uwijał się stangret starościński, stary mruk, znany Piotrkowi oddawna, obok niego pajuk dworski upychał słomę, cały zatopiony w tem swoim zajęciu. Pietrek miał od dzieciństwa spojrzenie bystre nad wyraz: nie uszło też jego oczu, kiedy się przybliżył, że obaj dworacy coś pokryjomu pakowali w wozy. Słomą przygluszony szcęk stali, pomieszane twarze dworaków, kiedy go spozstrzegli, potwierdziły podejrzenia domyslnego Pietrka.

— A kędyż tak w drogę? — zapytał stangreta, nie dając poznać po sobie, że dostrzegł na wozy pakowany oręż.

— A ot gdzie?—odparł mrukiwie stangret—gdzie każą, może do Krakowa, może do Warszawy, a może gdzie dalej.

— At co tu tać — przerwał więcej gadliwy pajuk — na zamek krakowski gotujemy wozy — siła pono konfederatów mają królowi odstawić; toć im trzeba podwód i do nas przystali.

Rozciekawiony Pietrek chciał jeszcze dalej prowadzić gawędę, kiedy do niego podbiegł wyrostek posłany ze dworu, aby natychmiast pośpieszał do rządzcy. Wyczfiński, który na ganku oczekiwał Pietrka, wprowadził go niebawem do wielkiej, wspaniale urządzonej komnaty, w której koło stołu siedziało trzech mężów, widocznie o ważnych sprawach mówiących ze sobą. Wszyscy oni byli ubrani zrycerska chociaż niejednakowo: pierwszy z nich, towarzysz pancernego znaku, człowiek już leciwy, olbrzymiej budowy i otwartej twarzy, miał na sobie drucianą koszulkę, na piersiach pancerz nabijany srebrem a z tyłu krymską burkę zwieszoną przez plecy; łosiowe rękawice z karwaszami po łokieć zdobiły mu ręce; przed nim na stole leżała stalowa misiurka z kitą i piórami a u boku zwieszał się potężny rapir na stalowych rapciach. Nie był to kto inny, tylko nam znajomy pan starosta Dzierżek, ojciec uroczej Jadwisi, który, gdy mu regaliści przed miesiącem z dymem puścili siedzibę, zrabowawszy inwentarz i trochę gotówki, aczkolwiek jako dawny officer gwardyi był stronnikiem króla, teraz przez samą zemstę rzucił się do związku i, złoczywszy się z Piotrem Małachowskim, oświecimskim starostą i oświecimskiej konfederacyi marszałkiem, gdzie mógł regalistów trapił. Obok niego siedział mąż średniego wzrostu podobnie ubrany jak i pan starosta, bo miał i koszulkę i krzyż na piersiach złotem nabijany; twarzy mu jednak nie mógł zajrzeć Pietrek, zasłaniała ją bowiem starannie od hełmu spuszczone przyłbica. Trzeci zaś, officer niższej, zda się, szarzy, była to jakaś cudzoziemska postać w granatowym kaftanie, w wysokich za kolana butach, przy których brzęczały ogromne ostrogi, i w czarnym kapeluszu o szerokiej kani, ubranym strojnje w trzy wysokie pióra.

— Kiedy wszedł Pietrek, urwano rozmowę. W komnacie zaległa cisza, niby makiem posiał; tylko gęste flaki śniegu wstrząsały szybami, na wielkim kominie trzaskały polana, pryskały iskry, a płomień syczał i jęczał niby dusza w czyszcę. Pietrek, objawszy okiem rycerzy, przystanął u drzwi cicho, czekając rozkazu.

— Słysz, chłopcze — ozwał się pan Dzierżek stentorowym głosem — czy ty umiesz milczeć?

— Jeśli taki nakaz, jak ryba, Wielmożny Panie! — była odpowiedź zdziwionego sługi.

— A masz ty przyjaźń dla twojego pana, pana podstolica?

— Ola Boga, dyć go miłuję bardziej może niż rodzzonego brata.

— I chciałbyś pana Drużbica widzieć na wolności? — indagował pan starosta dalej.

— Choćby głową nałożyć przyszło, Wielmożny Panie. Ale jakci ratować, kiedy niema rady?

— Jak? ty się nie frasuj. Od tego są starsi, żeby nad tem radzić; ty zaś, żebyś ślepo słuował co ci

1) Sikornik jest częścią góry S-tej Bronisławy, wznoszącej się między Żwierzyńcem a Wolą Justowską.



się tu powie. Od tego dependuje wolność twego pana i tych wszystkich więźniów, co ich mają dzisiaj uwięzić do Warszawy. Więc uszy do góry! i słuchać, a wszystko wraźcie dobrze sobie w pamięć! Jeśli z moim Jaśkiem dobrze wykonacie rozkaz, nie minie was nagroda; a nie, to kulą w łeb się dostanie, czy wcześniej, czy później — pamiętać to sobie!

Na te słowa ów rycerz z zamkniętą przyłbicą pochylił się za stołem ku panu staroście i rzekł nieco przytłumionym głosem:

— Ja za niego ręczę, łeb sobie pierwszej pozwoli zdjąć z karku, nim chybi rozkazu.—Słowa te chociaż trochę głucho wyszły zpod przyłbicy, zdziwiły niemało poczciwego Pietrka, świadczyły bowiem, że owemu rycerzowi był on dawniej znany, a głos—to już w uszach chłopca dźwięczał tak znajomo, że byłby przysiągł na wszystkie świętości, iż słuchiwał go dawno, niemal od dzieciństwa.

— Więc słuchaj, chłopcze—począł starosta łagodnie,—pan Wyczfiński da wam obu z Jaśkiem kozuchy i czapki, da zresztą wszystko, co będzie potrzeba. Ty na jednym, Jasiu na drugim wozie zjedziecie na zamek. Twoją już sprawą tak się wziąć do rzeczy, aby podjechać pod twój pana i jego z panem Ratułtem umieścić na furze. Na wszystkie świętości zaklinam ostrożność i, choćby z nieba pioruny padały, nie zdradzić się w niczym, a dopiero na moście u ujścia Rudawy rozcinać postronki. Zrozumiałeś, chłopcze?

— Czemu nie? Wielmożny Panie, nie trudno zrozumieć.

— Lecz trudniej wykonać — zaśmiał się starosta—ale nie święci garnki lepią, ino ludzie; przy pomocy Bożej wszystko da się zrobić. Teraz słuchaj dalej. Przy gościńcu od Zwierzyńca, gdzie się dwoi droga ku Woli Justowskiej, stoi stara karczma a przy niej stodoła. Na nią mi uważać, a kiedy na niej zobaczycie płomień, wtenczas dopiero wyskakiwać z wozów.

— I nuże gwardyaków!—podchwycił niecierpliwie Pietrek, a wyraz radości rozświetlił mu oczy.

— To się wie. Broń będzie na wozach, więc szabla do garści i dalejże młócić. Czy co więcej do rozkazu, panie pułkowniku? — dodał starosta, zwracając się ku rycerzowi z zamkniętą przyłbicą.

— Kartkę do Ratułta — odparł donośnie pułkownik, a dziwna rzecz: głos ten zdał się znowu Pietrkowi tak dobrze znajomym, że choćby się był zawiódł pierwszą razą, to teraz był pewnym, iż głos ten wychodził z piersi Zborczyckiego pana.

— I ot widzicie byłbym nie pamiętał! Tę kartkę oddasz panu Ratułtowi, jeno pokryjomu, wtenczas dopiero, kiedy siądzie na wóz. A to są pieniądze, które miej przy sobie na wszelki przypadek — zakończył pan Dzierżek, podając Pietrkowi niewielką karteczkę i spory miasek nabity monetą. —Teraz bywaj zdrow! Idź z panem Wyczfińskim i poznaj się z Jaśkiem, a pamiętaj com dopiero mówił: ostrożność, most na Rudawie i stodoła w ogniu! Z Bogiem, niech was Matka najświętsza ma w swojej opiece!

Kiedy Pietrek z Wyczfińskim zdążyli ku stajniom, by odnaleźć Jaśka, który ze starym stangretem pakował oręż w siedzeniu na wozach, trzech nasi rycerze dosiedli oczekujących koni i tegim kłusem ruszyli szparko ku Panińskim Skąłom.

Zawierucha nie ustawała, ale zwiększała się coraz, porywając za sobą mokre płachty śniegu, przejmując nawskroś do szpiku wilgocią i niby mokrym piaskiem zasypując oczy. O kilkadziesiąt staj od Justowskiej Woli konna pikieta zatrzymała jeźdźców ale, poznawszy, przepuściła wolno; tożsamo, i druga złożona, z kilku piechotnych żołnierzy, którzy, grzejąc się przy ognisku, z muszkietami na ramionach, dawali świadectwo o swojej czujności.

— Panie Grębski—odezwał się rycerz z zasłoniętą twarzą do owego oficera w kapeluszu o szerokiej kani—skocz-no waszeć, weź pluton jazdy i zrób mi rekonesans drogą ku Skawinie. Borowski niech z plutonem idzie ku Łobzowu. A wracać się duchem, by dać koniom wypocząć.

Odsalutował Grębski i w różnych poskokach rzucił się galopem.

— Chwalebna ostrożność — przemówił starosta, — chociaż na czas taki można być bezpiecznym: i psa nie wygnać na straszną zawieję.

— Prawdać to — odpowiedział rycerz — ale zawsze bezpieczeństwo nie nam nie zawadzi, a lepiej żołnierzowi przekłusować w marszu, niżli stać beczynnym i marznąć napróżno.

— Jak myślisz, pułkowniku: czy się nam powiedzie dzisiejsza impreza?

— Mam wszelaką pewność, inaczejbym jej dziś nie rozpoczynał. Snadziej-by mi było wyczekiwać i gdzieś w Radomskich lasach popróbować szczęścia, ale tak rachuję, że tu pod murami samego Krakowa będzie nasz nagły atak taką niespodzianką dla wszystkich, że Jordan nie przedsięwzięnie żadnych ostrożności. Zresztą czas nagli; we mnie się gotuje tak się niepokojem gryzę; gorączka mię trawi i sen mię odchodzi: chciałbym, aby raz był koniec. W tych ciągłych marszach żołnierz mi się nuży, siły upadają a i konie słabną, przytem zima coraz bardziej się sroży: więc nie pewno czekać. A dzisiaj żołnierz jeszcze świeży, konie wypoczęte...

— Wszystkoć to prawda, dlatego się też godzę na dzisiejszy napad, chociaż pachnie to awanturą trochę u samych murów fortecy odbijać im więźniów; ale dużo tu waży, że napad zniemacka a oni myślą o nas, żeśmy pod Piotrkowem. Zresztą, akcja już rozpoczęta: *hic Rhodus hic salta!* A ot już i obóz.

Wistocie wjeżdżali teraz nasi jeźdźcy w wązów osłonięty lasem, z malowniczymi dokoła skałami, które, obsypywane śniegiem, sterczały na tle zieleni jodeł, niby opiekuńcze duchy, osłaniające obóz konfederatów od wicherów i burzy. W wąwozie, na obszernej płaszczynie, zasłanej białymi całunami śniegu, graniczącej z lasami Bielani i Mnikowa, roztaczało się dziwaczne życie, niby fantastyczny obraz, ujęty w potężne ramy olbrzymich skał i ciemnej zieleni lasów, co je otaczały. Głównym, środkowym punktem obozu była wielka szopa ze świeżych, dopiero ociosanych berwion, którą żołnierze sklecieli dla swojej starszyny. Dokoła niej tuliły się wozy, kilkanaście płóciennych namiotów nasiąkniętych szronem; płonęło kilka rozpalonych ognisk, na których trzaskały ogromne polana, a sycząc i wyrzucając z siebie snopy iskier, roznosiły dokoła dobroczynne ciepło. Jak zjrzeć, na całej przestrzeni roilo się wszędzie od zbrojnego ludu; wszelkie gatunki broni można było znaleźć: piechota, ustrojona niemiecka w szarych rajtrokach i czerwonych pludrach, w wielkich bermycach na głowach, uwijała się między kawalerią w krótkich niebieskich kontuszach, w czerwonych żupanach i w wysokich z barankami czapkach. Gdzieś tam zjawiał się i kozuch, ale bardzo rzadko, bo tak tu było zacisznie i ciepło, że wszyscy poskładali kozuchy na wozy. Tuż koło szopy zgromadziło się kilkunastu towarzyszy pancernego znaku, olbrzymich wzrostem, zakutych w stalowe pancerze, w lśniących misiurkach na głowie, ozdobionych w kity, albo czaple pióra, obok zwiali się ochotnicy — szlachta w swoich fantastycznych strojach, w kurtach, kubrakach albo w grubych żupanach, przepasanych rzemieniem, u którego długa zwieszała się szabla. W świeżo wystawionych barakach, ciągnących się równolegle z lasem, nieprzerwaną linią stały szeregiem ustawione konie, parszkając rażno i gryząc owies z zawieszonych u szyi obozowych worków; żołnierze donosili wodę, odcyszczali szable, gotowali jadło: a wszędzie ruch, wszędzie krzątania, niby w olbrzymim mrowisku, co się u stóp skał rozesało na całunie śniegu.

Przed szopą nasi jeźdźcy zeskoczyli z koni, witali serdecznie przez grono officerów różnego wieku i gatunku broni. Była to większą częścią szlachta oświecimska i z wadowickiej ziemi, która związała się była w konfederacją pod Małachowskim, oświecimskim starostą; gdy tenże atoli w sprawach publicznych jechać do Preszowa musiał, zlecił dowództwo staroście Dzierżkowi, a ten, stosownie do dalszych rozkazów rady generalnej, oddał je w ręce owego tajemniczego rycerza, którego powszechnie pułkownikiem zwano.

Oświecimscy związkowi była to sama szlachta-karmazyny, ludzie dzielni i do korda skorzy: Romerowie, Bobrowscy, Siemońscy, Lgoccy, Konopkowie, — w których rodach zawsze przeważał animusz wojenny, a chociaż nie wszyscy bywali piśmienni, to częstogęsto krwawymi literami zapisali się pamiętką na kartach nieprzyjaciół. Z nimi-to zniósł koło Gdowa pułkownik do szczytu oddział gwardyi konnej; z nimi koło Skierniewic odbił kilkadziesiąt jeńca; z nimi także w radomskich lasach na dwa regimenty sprzymierzonych napadł, w puch je rozbił i zdobył prowadzone łupy: zgoła, w każdym spotkaniu na ostrzu szabli rozstrzygał zwycięstwo, zyskując coraz więcej miru, coraz więcej ufności w swych podkomendnych. Chociaż z nazwiska nieznanym swym żołnierzom—dziwny wpływ na wszystkich wywierał tajemniczy rycerz; słuchało go i kochało wojsko, acz z różnorakich żywiołów złożone, każdy jego rozkaz był świętym w obozie; nie było tu krzykaczy, nie było warchołów, ale wszędzie posłuch, a każde skinienie wodza ważono, dając świadectwo karności między szeregami. To też i dzisiaj, kiedy się dowiedziano o nowej wyprawie, nie było końca radosnym objawom; z rozpromienionymi twarzami biegli officerowie między podkomendnych, w obozie zakipiało jak w olbrzymim kotle, ozwały się trąbki, żołnierze zbiegali się pod chorągwie, aby wysłuchać rozkazów pana pułkownika, a otrzymawszy je, zasiedli do kotłów i przy wspólnej, prawdziwie spartańskiej biesiadzie, pokrzepiając siły, nabierali ochoty do nowej wyprawy.

Było już dobrze z wieczora. Jakby zmęczona całodziennym wysiłkiem, zawierucha poczęła się uspakajać zwolna, tylko wicher dał jeszcze, ale nie miotał śnieżycą, jeno pędził ponad ziemią chmury ołowiane, a te, poszarpane na tysiączne szmaty, ustępowały miejsca pogodnemu niebu. Błysnęły gwiazdy, wytoczył się księżyc zpoza chmur osłony i oblał łagodnym światłem w puch spowitą ziemię, osrebrzając szronem pokryte dachy przydrożnych budynków i gałęzie drzew, które, ścieląc poza sobą fantastyczne cienie, patrzyły milcząco na stare mury krakowskiego zamku, sterczące na bystrym brzegu rzeki, co się słała pod jego granitowe stopy wzburzonych fal szumem. Pusto zresztą było dokoła i głucho,—tylko w oknach zwierzyńskich chałup pojawiały się światełka, jak błędne ogniki; rozświetlając niewielką przestrzeń ponad drogą prowadzącą od murów fortecznych ku klasztorowi panien Norbertanek.

Naraz dał się słyszeć tętent; na drodze od Sikornika pojawił się orszak kilkunastu jeźdźców, przystanął na chwilę i, niby różdżką czarodzieja tknięty, rozsypał się pojedynczo gdzieś poza chałupy, i jak przyszedł tajemniczo,—tak i znikł bez śladu. I znowu zaległa cisza nad brzegami Wisły, przerywana szmerami pluskającej fali, poświstem wiatru i echem miejskich zegarów, płynącym z oddali.

Z uderzeniem siódmej od strony Wawelu zbliżał się tętent cwałujących koni — niby huragan, przepędziło kilkunastu dragonów drogą ku Bielanom, napełniając powietrze loskotem kopyt końskich i szczękami pałaszy. Ale i ci przepadli we mgle, jak sennie zjawisko; dopiero w pół godziny może, pojawił się na Groblach pod zamkiem oddział dragonii w białych, jak śnieg, płaszczach, w złocistych szyszakach, błyszczących wspaniale przy świetle księżyca. Czterech jeźdźców wyprzedziło orszak o staj kilkadziesiąt. Za nimi w ściśniętych szeregach, z dobytymi rapirami w rękę, postępowały dwa szwadrony dragonii, z Gordonem na czele; szły one w uroczyściej ciszy, przerywanej tu i owdzie szczękami o ostrogi brzęczącej pochwy albo rażnem parszkaniem niecierpliwych koni. Oddział ten, stanowiący awangardę generała Jordana, maszerując wzdłuż koryta Wisły, już się przybliżył ku ujściu Rudawy, kiedy z bram zamkowych wytoczył się szereg wozów, poprzedzany i otoczony dokoła dwoma szwadronami gwardyi; Jordan z adjutantem Łackim i z Bierzyńskim jechał w odkrytym powozie, w którym trzech luzaków prowadziło konie. W od-



dali za powozem, w blasku księżyca majaczało kilkunastu jeźdźców i ci stanowili ariergardę całego pochodu, gdyż oberstlejtant Lettow, kwaterując z dwoma szwadronami na przedmieściu Piasek, ztamtąd dopiero na Zwierzyncu miał się z generałem złączyć.

Na wozach, toczących się nieprzerwanym szeregiem po równym gościńcu, tuliły się do siebie wybladłe postacie, o twarzach zsiniałych, z podwiązanymi pod uszy szmatami, kurczące się i drżące od mroźnego wiatru. Byli to większą częścią ludzie już leciwi, pobrani w różnych czasach wojny, dzisiaj zgłodniałi i chorzy, odziani, jak na sztyderstwo, w cienkie letnie suknie, świecące dziurami przy blasku księżyca. Na twarzach malował się wyraz bezsilnej rozpaczki albo rezygnacji niemej. To znowu jakaś straszna wściekłość, jakaś zaciętość zwierzęca, że zdawało się, iż każdy z nich rwałby i kąsał wściekle te postronki, co się wpijały do krwi, kępowały ciało, — że każdy siekłby, mordował i sam-by się dał porąbać na sztuki: tak byli wszyscy zrozpaczeni, znękani, zniechęceni do życia. Tylko na pierwszych wozach siedzący byli dobrej myśli. Świadczyły o tem czapki z zawadyacką na ucho zwieszoną, uśmiechnięte twarze i dostatnia odzież. Zdawali się nie widzieć więzów, co im kępowały ręce, ani nie myśleć o przykrem jutrze, jakie ich czekało: owszem, na ich twarzach rozpromienionych, czerwonych od wiatru, widać było zapal, niecierpliwosć i niby chęć walki.

Byli to na pierwszym, przez Pietrka powożonym, wozie: Druźbic, Malczewski, obaj Ratułowie; na drugim, gdzie powoził Jasiak — panowie: Różnowscy, Zbrożek i Czarnecki, którzy czasu swej niedoli trzymając się kupą, i teraz razem odbywali podróż. Ani Druźbic, ani staroście splawski nie bardzo się zmienili przez ten czas niewoli; przybledli trochę, przyszczupleli może, ale ani krzty nie stracili z rycerskiego ducha, nie stracili fantazyi, co im podawnemu w młodzieńczej krwi grała. Ratuł, posiwił, przygarbił się nieco; ale twarz była zawsze rumiana i czerstwa, oko, jak zawsze, błyszczało odwagą, patrząc przed siebie niecierpliwie, gorączkowo niemal, kiedy ręka, owinięta płaszczem, miała niedawno odczytaną kartkę, która mu zwiastowała przedsięwzięte przez pułkownika kroki.

Tak rozmyślając w milczeniu, jeńcy przejechali Groble. Otaczający ich gwardyacy, chociaż z pistoletem w rękach, patrzyli ze współczuciem na ten szereg braci zmarzniętych, skostniałych, którzy, w smutnem położeniu dzisiaj, czekali jeszcze smutniejszego jutra; niejednemu z wiarusów w oczach łza zaszkliła, niejednemu z chęcią-by skoczył, aby porozcinać więzy, co kępowały ręce nieszczęśliwych, i uwolnić ich od straszego losu, od tej nieszczęśliwej pielgrzymki w krainy lodowe, gdzie ich wkrótce już prowadzić miano. Ale służba dla żołnierza świętem przykazaniem: choćby się serce na kawałki rwało, spełniać zawsze trzeba gorzki obowiązek.

(Dokończenie nastąpi).

## JÓZEF VERDI.

Uroczyste uczczenie zasług artystycznych i obywatelskich sędziwego Nestora sztuki, Józefa Verdiego, było dla pięknej Italii świętem narodowem, chwilą o doniosłym znaczeniu, poruszającą do głębi serca wszystkich tych jego zacnych współziomków, którzy w artyście czczą, nie tylko przedstawiciela sztuki narodowej, lecz człowieka zasługi, wspaniałych uczuć, człowieka nieskazitelnych zasad patriotycznych, którego działalność szerokim rozgłosem rozbrzmiewa po całym kraju. Imię jego, otoczone aureolą chwały, używa popularności, równającej się niemal

uwielbieniu dla Garibaldiego i pełnej cześci pamięci dla króla oswoobodziciela Włoch.

Narody, przechodząc swe zmienne koleje, w danej chwili objawiają żywotność swoją pulsującą siłą wewnętrzną, nurtującą w swém łonie myśli, porywy i dążenia, — przez jednostki genialne, wzrosłe czy-to na polu pracy politycznej, czy-to na niwie sztuk, literatury i nauki. Włochy, przez wiele lat rozczłonkowane, obumarłe w politycznym swém stanowisku, niedawno dopiero, oprócz innych potężnie działających czynników, zacerpnęły impuls do nowego życia i przez sztuki piękne, łączące tę ziemię jednym gorącym tchnieniem zapału i entuzjazmu, rzec-by można, iskrą patriotycznego samopoznania, która, przebiegając z końca w koniec krainy bratniej, lecz prawie już obce sobie, zwiastowała poniekąd mającą nastąpić chwilę zjednoczenia, chwilę tryumfu narodowości.

Iskrę tę wywołał, bodaj jeden z pierwszych, Józef Verdi.

Przy pierwszym ogólnym rzucie oka na jego dzieła z młodzieńczej doby życia, należy odrzucić od siebie ostre pióro krytyki artystycznej, a zaznaczyć, iż dzieła te, przesiąknięte nawskroś ulubionym, tradycyjnym typem narodowym, jako takie właśnie, porywały słuchaczy w krainy pragnień, podnosiły to uczucie miłości dla wszystkiego co rodzime, pobudzały do czynu, — ludzi pokrewnych duchem, głoszących słowa odwagi, miłości i poświęcenia. — Cóż więc dziwnego, że wpływ ten, bezwiedny prawie, postawił Verdiego artystę-muzyka, na stanowisku ogólnie - społecznym tak wysoko, że w swoim kraju, kraju entuzjastów o krwi gorącej, jest on czczony na równi z bohaterami swej epoki?

Światu jednak całemu Verdi nie na tem stanowisku imponuje. Ta jego działalność jest albo ignorowana, albo też nie znana rzeczywiście; dla świata jest to przedewszystkiem artysta wypełniający sobą całe lata postępu w sztuce, artysta którego talent, ciągle potężniejąc, przyjął na siebie zadanie kilku pokoleń i który wszystko samemu sobie winien i z siebie czerpał.

Gdy się zastanowimy nad drogą, którą Verdi przebiegł, wstępując coraz wyżej i wyżej, zadziwi nas w nim ta pewność siebie, w jaką zwałcział przeszkody napotymane na swej drodze, to niezbaczenie z wytkniętego kierunku w doskonaleniu się, i uniknięcie zmanierowania stylu, które doprowadza najgenialniejszych nawet ludzi do upadku po osiągnięciu pewnego punktu kulminacyjnego działalności. Mało nam historia może dać takich przykładów, by żywot genialnego pracownika sztuki, oile nie był przerwany przedwczesną w sile wieku śmiercią, nie dał objawów zwątlenia ducha, by talent nie zachwiał się, nie zmałiał i nie zstąpił choć trochę z wyżyny poprzednio zdobytej. Verdi, do tej pory dobiegł już sędziwego wieku, tworząc i tworząc coraz genialniej, przetapiając swój talent na coraz czystsze złoto, zadziwiając tych, którzy, gdy im szukać przychodzi źródła jego twórczego potoku, znajdują mętną strugę, z której nikt-by nawet domyślić się nie mógł, rozwoju tak potężnych i ożywych nurtów. W tych warunkach, dla sztuki włoskiej Verdi był opatrnością, która tę sztukę wydzwignęła, uszlachetniła i ostatecznie postawiła na równi z rozwojem onej we Francji i Niemczech.

Czy Verdi, w ostatnich swych dziełach objawił zwrot postępowy pod wpływem nowego kierunku w Europie? Czy pod tym wpływem, rozbudził w sobie silniejsze dramatyczne poczucie, oparte na bogatej harmonizacji, na potężniejszym użyciu sił zbiorowych, tak wokalnych, jako też i instrumentalnych? Czy Wagnera kierunkowi zawdzięcza obecnie, owo głębsze wniknięcie w poetyczną osnovę danego libretta i charakterystykę pojedynczych postaci? — Są to pytania mniejszej wagi; Odpowiedź bowiem twierdząca nie zmienia istoty rzeczy, nie odejmuje Verdiemu zasługi. W pomysły i wydzwignieniu artystycznej budowy, w każdej nucie, która się spod jego serca dobywa, Verdi pozostał sobą i śmiało zarysował granice swej indywidualności, w niczem nieznizającej się do naśladownictwa. „Na własnych swych

ramionach coraz wyżej się wznosił“ — jak orzekły trafnie słowa Henryka Boito, których nie wahał się powtórzyć.

Nie torem wytkniętym przez pewne pojedyncze jednostki posuwała się muza Verdiego! W głębinach jego duszy odbył się ten rozwój artystyczny, jakiego po nim prąd wieku wymagał. Muzyka bowiem obecnie przechodzi w swój okres dojrzałości i staje na tym krańcu do jakiego w przebiegu historycznym wszędzie i powszechnie dochodziła jej przyrodnia siostrzyca poezya, najsilniejszy swój wyraz znajdując w dramacie, w pełni akcji rozwijającej się wśród starcia i walk losu, uczuć i namiętności ludzkich.

A zatem w ostatnich dziełach Verdiego zbyt uczynną jest rzeczą szukać technic obcych i stawiać przed nim na piedestale cudze bożyszczą, do których miałby się modlić.

Co do jego wcześniejszych utworów, pierwszej manieri, jeśli tak wyrazić się wolno, rzecz się ma inaczej. Wszak to, co mówi Maurycy Carrière, iż „epoki ludzkości nie są od siebie oddzielone murami, lecz jedna w drugą zachodzą“ da się i do sztuk pięknych zastosować. To, co uczynili i zdobyli bezpośredni poprzednicy, staje się zazwyczaj pierwszą podwaliną dla następców uprawiających to samo pole; i jak dziecię z najbliższego swego otoczenia czerpie wiedzę i wrzeń zasoby, tak geniusz, częstokroć w najbliższym mu i dlatego nieraz błędnym, kole, pierwsze stawia kroki, dopóki własnych sił nie poczuje, nie zmeźnieje sam w sobie i pędem orlich skrzydeł nie wzbije się na wyżyny, które oczom się zarysowują.

Verdiemu tradycją swoją przekazali: Bellini i Donizetti.

Opera włoska powstała pod wpływem myśli wskrzeszenia tragedii greckiej; przeto też w pierwszej swej fazie melodramatu dążyła głównie do zaznaczenia działalności mocno zarysowanych pojedynczych postaci. Wynikiem dążenia tego było wykształcenie się recitativa, dalej *ariosa* — i ostatecznie arii w całej jej skończonej formie. Nie miejsce tu wskazywać historycznie całą drogę, jaką opera włoska przechodziła, zanim się stała tem, czem jest; dość będzie powiedzieć, że pierwotne dążenia, ze-wszech-miar postępowe i racjonalne, zostały w samym zarodku spaconemi przez przesadę śpiewaków wykonawców, którzy muzykę traktowali, nie jako świętą sztukę natchnioną, lecz jako sztukmistrzostwo głosu, dla którego wszystko poświęcić się było powinno. Arya przeto, rozwielniając się coraz bardziej, pochłonięła wszelkie inne efekta muzyczne, wszelkie inne dźwięki siły dramatycznej; recitativo słabło, chóry nikły, doprowadzone do minimalnego znaczenia, a tylko śpiewak solista ze swą popisową arią, pełną koloratury i łatwej kantileny, wszechwładnie operę zagarniał.

Ostatnim wyrazem tego kierunku były dzieła Belliniego i Donizettiego. Znamy je wszyscy; słodycz kantileny Belliniego w swym czasie zawładnęła niepodzielnie gustem słuchaczy, stała się popularną, bo jako łatwo pochwytna, przyswajała się bez trudu. Donizetti, jako bardziej staranny w opracowaniu instrumentacyjnym, przetem jedniejszy w tematach, wyżej stoi od Belliniego, jeżeli już nie szlachetnością pomysłów muzycznych, to przynajmniej wzmocnieniem dramatyczności w *ensemblach* solowych i staranniejszym akkompaniamentem. Tak jeden jednak, jak drugi, dawali jeszcze przewagę popisowi głosów pojedynczych, lekceważąc prawdę w dramacie, żywotność działania i bogactwo środków ekspozycyjnych.

Nie zatem zwykłego, iż Verdi w zaraniu swej twórczości, otoczony wiejącym zewsząd prądem lokalnym banalnej manieri w sztuce, dał się jej początkowo opanować, a nawet w późniejszych swych dziełach nie ze wszystkim jeszcze zdołał się otrząsnąć z onej wkorzenionej w jego istotę trucizny. Wszelako, nawet już w pierwszych jego kompozycjach przebija się pewna samodzielność, gruntowność myśli i poryw dramatyczny, — pewna prawda i świeżość w oddaniu uczuć i trafniejsze ujęcie w formę muzyczną poetycznego przebiegu akcji. Tak więc, nigdy on naśladowcą nie był.



Aby należycie ocenić wyjątkową postać genialnego muzyka, aby zrozumieć głębię jego duszy, która bez wytechnienia w walce z kolejami losu wyrobiła w sobie siłę i hart niespożyty, musimy teraz zwrócić uwagę na niektóre chwile jego życia, naturalnie i jasno odzwierciedlające jego osobistość.

(Dokończenie nastąpi.)

## Czytanie dla młodzieży.

Gwiazdka tegoroczna okazała się skąpszą, niż lat innych, w darach swoich dla młodego świata czytelników i w tym zakresie przybyły nam, jako kolenda, książki nowe dwie tylko. Jedną z nich jest: „Z krainy czarów przez Julię Maryę Zaleską (nie Maryą Julię, nieodżałowanej pamięci autorkę *Dwóch siostr*) a jest to zbiór fantastycznych baśni ludowych, tak naszych, jak obcych, i jako przedmiot rzecz to bardzo pożądana w czytaniu dla młodzieży, bo uskrzydla wyobraźnię, rozbudza fantazję młodą i wprowadza w nią poetyczność. Przecież Schiller nie mylił się, twierdząc, że ten, kto chce poezją zrozumieć, musi sam w krainie poezji przebywać: i wielkim brakiem książki jest, że poezja spisana w niej, nie zdaje się dostatecznie przez piszącą osobę odczuć, bo nie porywa ona czytelnika, nie zachwyca, i nie poezją, lecz tylko materiałem do poezji mu podaje.

Jest przecież zasługa i w tem zebraniu materiału—jest zasługa w zrozumieniu tej potrzeby, aby był on dostarczany młodości, co, jak tu, odnosi się szczególnie do naszych baśni i podań tatrzańskich, czerpanych z opowiadań starego górala Sabaly, który od czasu śmierci Chułubińskiego stał się znaną całej naszej społeczności postacią. Jest tu zebranych baśni naszych—takich, jakie przadki przy kądzieli sobie opowiadają,—piętnaście. Jest obok tego parę pobratymczych i sąsiedzkich: czeskich, węgierskich, a dalej idą już rozmaite: niemieckie, szwedzkie, norweskie, jedna irlandzka: „Odważny grajek“. Książka liczy i kilkanaście ilustracji, co przy tego rodzaju czytaniu jest rzeczą bardzo potrzebną, niemal konieczną, bo obrazek pomaga tu działaniu wyobraźni młodej i uplastycznia obrazy, które fantazja jej tworzy.

Na wstępie czytelnik spotyka się ze szczególnie sympatyczną ryciną: z postacią Sabaly, który, w lesie pod starem drzewem siedząc, na skrzypceczkach sobie gra, a czytelnikowi stawa przod oczyma obraz takiego lasu o dniu letnim i przypomina sobie (jeżeli zna) piosenkę mazurską: „Poszła dziewczyna w stary las, a był to cichy, ciepły czas“. Że przytem język i styl jest dobry i poprawny, że się to czyta gładko i nawet przyjemnie,—bardzo dobrą kolendę mieć będzie ten chłopiec, czy dziewczynka, którym się ta książka p. Zaleskiej do rąk dostanie.

Druga z tegorocznych książek kolendowych, przełożona z angielskiego przez Henryka Wernica „Brat ociemniały, powieść dla młodzieży od lat 12—15“ jest bardzo zajmującym, dramatycznym przedstawieniem losów dwóch braci, ubogich dzieci wdowy z klasy wyrobniczej, z których jeden jest niewidomy. Autor, Homer Green, zapewne Amerykanin, bo rzecz ma amerykańskie tło ludowe, otrzymał za nią na konkursie, w którym zwyciężył, 1.500 dolarów, ale ta cena nagrody wobec stosunków amerykańskich nic czytelnikowi imponować nie może.

Dwóch małych jeszcze chłopców, braci, a jeden z nich niewidomy, zabłąka się w szybkie kopalni węgla, gdzie spotykają ich rozmaite, trzeba dodać: ciekawe i zajmujące przedstawione, wypadki. Jest tu przecież dużo awantury amerykańskiej: jest zły człowiek, który sumienie starszego z braci kusi i na chwilę obalamuca; jest nacisk

położony na pieniądź, który stanowi dramatyczny motor powieści, i który już nawet mógł biednego chłopca na drogę kłamstwa i fałszu wprowadzić. Choć uczciwe zasady zwyciężają, choć mały bohater opiera się silnie pokusie, a raz jej uległszy, umie jednak ją zwalczyć, zawsze lepszym dla młodego wieku czytaniem jest obraz innych, na szlachetniejszej drodze, dla szlachetniejszych celów, przebywanych doświadczeń. Realistyczne stosunki życia i tak dość wcześnie dzieci wieku naszego chwytają; wagę pieniędzy w istnieniu człowieka dość wcześnie wykazuje im ich otoczenie: niechże choć książka odłoni im jakiś kawałek błękitu; niech im maluje obrazy, w których dla szlachetniejszych celów: dla uczuć serca, dla gorącego myśli ideału walczy i poświęca się—zwycięża dostojnie. Niezmiernie, niezmiernie ważną rzeczą są te wrażenia pierwsze,—ten odciśnięcie na świeżej wyobraźni przez książkę wywarły: idzie to za nami w życie, bo usposabia do takiego, a nie innego, szacowania jego wartości. Komu u zarania lat młodych przed umysłem to postawiają, że jest bohaterstwem, a przynajmniej etą wielką: fałszywego świadectwa dla grosza nie złożyć, ten musi sobie ów grosz, jak coś bardzo wielkiego przed oczyma postawić i nauczyć się w nim skarby życia widzieć.

Jest tu i wcale pięknie, tkliwie malowane uczucie miłości braterskiej. Gdyby też nie było tych walk o pieniądź, tych pokus pieniężnych, wahań się ducha w tak nikczemnej walce, powieść ta, przy talencie autora, przy zajęciu, które budzi, należałaby do rzędu bardzo dobrych czytań dla młodzieży.

Jest przecież bardzo niedawno, bo tej jesieni nakładem księgarni Teodora Paprockiego wydana książka, z której pragnęłabym uczynić każdemu dziecku na świecie prezent kolendowy: „Pamiętnik chłopca“ przez Edmunda de Amicisa, powłosku napisany a za pozwoleniem autora przez p. Maryę z Siemiradzkiej Obrąpalską przetłómaczony na nasz język. Książki tej wyborowej, książki tej prześlizniętej ocena była już w piśmie naszym i niedawno podana (Nr 48); przecież o rzeczach dobrych, o rzeczach bardzo pożytecznych nie zawadzi ludziom przypominać, i zastosowuję tu to zdanie Jowialskiego: — Słyszeliście... a więc wam powiem!.. Rozwijanie w młodych pokoleniach uczuć szlachetnych i wszeczenie przekonania w umysły rodziców, że nie tylko rozum oświecać, ale i uczucia należy w dzieciach swoich jednocześnie i zarówno kształcić—to zadanie autora, który nie tylko ma wielki talent pisarski, ale umie przedmioty swoje tak wybierać, tak je przeprowadzać, że książkę jego nie tylko dzieci, ale i rodzice z równym zajęciem i co więcej, z równym pożytkiem czytać mogą. Jest to, jak krytyk nasz poszczególnie wykazał, edukacja uczucia, przeprowadzona obok edukacji umysłu w wychowaniu młodego chłopca, który do szkoły idzie i nauce ma wiele lat poświęcać. Człowiek nie na samych wiadomościach umysłu opierać się w życiu potrzebuje: nie przez same umysłu tego nabytki szczęśliwym i co więcej, uczciwym, być może. Uczucie zajmuje tu równe miejsce i należy je też kształcić jednocześnie—jednocześnie rozwijać i cele szlachetne mu ukazywać, a to wykształcanie uczucia, ta jego nauka nie ma w sobie nic z młdej sentymentalności, bo autor każe zawsze akt uczucia na jakimś poświęceniu własnego interesu, własnego egoizmu opierać, więc ukazuje je silnym i zdrowym, obłudą i lichą pozornością niedotkniętem. Obrazy, które przedstawia, są też dla czytającej młodzieży początkiem już edukacji serca, bo serce to dla szlachetnych uczuć otwierają i wzruszają je, można powiedzieć, do głębi.

Kto w wychowaniu dojsz do tego potrafi—kto wzniosły ideał prawego, cnotliwego życia tak przed młodą istotą postawi, aby go ukochała, aby się zapaliła do niego miłośnie, już niemal dzieła swego dokonał i może być o przyszłość wychowanka spokojnym. Może on nieraz zbłądzić, może zaślabać wśród doświadczeń życia, ale z upadku zawsze się dźwignie i na prawą drogę trafi. Być uczciwym i szlachetnym z nakazu, z posłuszeństwa prawu moralnemu, to jeszcze niedostateczne uczciwości i szlachetności naszej za-

warowanie; bo kto uczciwość i szlachetność, kto cnotę pokocha przez odczucie jej piękności niebiańskiej, ten się jej nie puści nigdy, a w momencie zachwiania się, taki żal, taką tęsknotę za nią uczuje, że się do niej nawróci wierniejszym, tkliwszym jeszcze jej kochankiem. To też jest wielką, ogromną Amicisa zasługą, że książka jego taki skutek wywiera: cnotę kochać każe i do życzeń moich gwiazdkowych, tak dla dzieci, jak dla rodziców należy to, aby pierwsza edycja „Pamiętników chłopca“ wyczerpała się co prędzej i była zastąpiona przez drugą, trzecią—dziesiątą. Nie jest przesadą uwielbienia to, co piszę, bo wszystkie piśmiennictwa europejskie tak książkę włoskiego pisarza przyjęły. Wszędzie jednakowo uznano wielki talent, wielki rozum w pojęciu życia i szlachetne jego dążności jednoznacznie oceniono.

M. I.

## Z DZIAŁU PRZYRODY

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Powrót Stanleja. — Prędkość wiatrów. — Fonograf w medycynie. — Tępienie trychin. — Koniec roku.

Nie podlega wątpliwości, że powrót Stanleja, odważnego podróżnika angielskiego, który w końcu r. 1886 podążył w głąb Afryki Centralnej w celu wyswobodzenia Emina-baszy, przedstawia nie tylko kolosalne zajęcie dla polityki i ekonomii, lecz spodziewać się można po tym powrocie bardzo wielu zdobyczy naukowych, obchodzących przedewszystkiem naturalistę.

Zanim przeto Henryk Stanley ogłosi swoje pamiętniki, za które nakładca londyński Simpson Law daje mu okrągłą sumkę 40.000 funtów sterlingów, pragniemy przynajmniej, w obecnej chwili, podzielić się z czytelnikami „Bluszczu“ treścią listów pisanych przez bohatera, którego przed niedawnym jeszcze czasem uważano za zgubionego dla świata i nauki.

Po przebyciu prawdziwie nadludzkiej wysiłków, po przecierpieniu mąk głodowych i tortur różnych zmian pogody, zdziesiątkowaniu chorobami i orężem dzikich olbrzymów i jeszcze dzikszych karłów, wreszcie otrzymał Stanley listy potwierdzone dopiskiem Emina, z których dowiedział się, że basza, sturczony Schnitzer, znajduje się nie jako w niewoli, gdyż krajowcy nie pozwalają mu opuścić prowincji podrównikowej. Odważny podróżnik ruszył mu zaraz na odsiecz. Po wielu trudach, po przebyciu ciężkich chorób nastąpiło spotkanie Stanleja z Eminem w Kawalli. Zwalczony pomyślnie bunt, powstały między Egipcjanami, w 1.500 osób, między którymi było 350 tragarzy krajowców, sławny podróżnik puścił się w drogę z powrotem, ale we dwa dni po wyruszeniu ciężko zachorował i przez 28 dni pozostawał między życiem a śmiercią, ocalał zaś dzięki jedynie poświęceniu i biegłości D-ra Parkesa.

Podczas choroby Stanleja wybuchnął znów między Egipcjanami spisek. Stłumiono go atoli zaraz w zarodzie przez schwytywanie i stracenie przywódców.

Powróciwszy do zdrowia wyruszył Stanley wraz ze swym oddziałem ponownie w drogę.

Odbywał w początkach bardzo trudne pochody, mianowicie u stóp gór Bellega, a prócz tego król Unjoro wzbraniał mu przejścia przez swe państwo; po niepomyślniej jednakże potyczce uległ i przeszkód już nie stawiał, bo nie mógł.

W miarę posuwania się na południe okolice stawały się coraz piękniejszymi; zwłaszcza zachwyca się Stanley całymi pasmami szczytów lodowych mających 18.000 stop wysokości. Na przeszkodę coraz nowe natrafiał bezustanku; dopiero w Unjampaba Murzyni przyjęli wyprawę przyjaźnie.



Podobnie bez przeszkody przebył Stanley państwa Ankory, Kargawe i Uhaja. Dawała się tylko bezustannie we znaki silna bardzo gorączka, skutkiem której, by nie iść dalej, wielu ukrywało się w wysokie trawy i ginęło w opuszczeniu. Zmarło 141 Egipcyan i Egipcyanek.

Pamiętniki Stanleya będą prawdziwą biesiadą naukową, jeżeli... uniknąwszy śmierci wśród dzikich ludożerców, uniknie jej także przed cywilizowanymi przedsiębiorcami, którzy go już zarzucają najrozmaitszemi ofertami.

Tu jeszcze dodać wypada, że Emin, czy to skutkiem słabego wzroku, czy też zbyt wielkiej ilości wypitego szampana, którym ich ugasał kapitan Wissmann w Bagamojo, już nad brzegiem morza, przechylił się przez poręcz balkonu, spadł z wysokości 20 stóp i bardzo ciężko się poranił; skutkiem wszakże opieki pomienionego D-ra Parkesa przychodzi stopniowo do zdrowia i jest nadzieja, że ci dwaj bohaterowie życia i wiedzy odbiorą zasłużoną nagrodę między swymi współbraćmi.

Takich tryumfów nie można nie zazdrościć!

Na wieży Eiffel'a mierzono przez przeciąg trzech miesięcy szybkość wiatrów. Rezultaty zebrał p. Alfred Angot, a przedstawił w Akademii Nauk w Paryżu p. Mascat. Szybkość oznaczał Angot przy pomocy anemometru, automatycznego, wynalezione przez braci Richard. Narzędzie to posiada swój wiatraczek na wysokości 303 metrów nad powierzchnią ziemi i jest identyczne z anemometrem centralnego biura meteorologicznego, mieszczącego się w odległości pół kilometra od wieży, a o 21 stóp nad powierzchnią ziemi.

Srednia prędkość wiatrów przez przeciąg 100 dni (w Czerwcu, Lipcu, Sierpniu i Wrześniu) wynosiła na wierzchołku wieży 7 metrów a 2,24 w biurze meteorologicznym. Wiatr zatem dmie trzy razy tak silnie, na wysokości 300 metrów, jak przy powierzchni ziemi. Rzeczywiście, trudno prawie dać wiarę, aby różnica była tak znaczną, a jednak wątpliwość o niej nie można. Przy powierzchni ziemi, zmiany w prędkości wiatrów zależą od zmian w temperaturze; znacznie mniej wyraźne są podczas wschodu słońca, niż podczas zachodu. Na miejscach wyniosłych dzieje się przeciwnie: tam największym zmianom podlega szybkość wiatru w godzinach wschodu słońca, a w południe bywa najjednostajniejszą. Na wysokości 300 metrów, t. j. niedosięgającej jeszcze wysokości właściwych gór, spostrzegamy już podobne fluktuacje, jak na górach wysokich.

„Zadziwiającem jest — powiada p. Alfred Angot — że objawia się to już tak wyraźnie na wysokości wieży Eiffel'a. *Minimum* szybkości wiatrów przy ziemi mamy około 10 godziny przed południem a *maximum* około 11 wieczorem. Na wierzchołku zaś wieży Eiffela dzieje się już przeciwnie. Szybkość wzrasta między północą a godziną piątą zrana: spada zaś około godziny drugiej i zachowuje ten stan do wieczora, następnie zmaga się bezustannie aż do północy“.

Widzimy zatem, że już na wysokości 300 metrów szybkość wiatrów podlega zupełnie innym zmianom, niż przy powierzchni ziemi i zbliża się do tych, jakie obserwujemy na wierzchołkach wysokich gór. Na wieży Eiffela, w czasie najpiękniejszych dni letnich, szybkość wiatrów średnio przewyższała 7 metrów.

Doprowadzony do wielkiej już doskonałości fonograf Edisona, który agent jego, p. Wangemann obwozi obecnie po Europie i wprawia w podziw głowy koronowane i zwykłych śmiertelników, znalazł także zastosowanie w medycynie. Wiadomą jest rzeczą, że badanie osób dotkniętych stopniem słuchu odbywa się przez obserwowanie wymawiania wyrazów w pewnej danej odległości chcąc zaś sprawdzić po pewnym czasie: jaki rezultat wywarła kuracja, należy w tejże samej od-

ległości i z taką samą siłą głosu badanie powtórzyć. Otóż trudność polegała na tem, że lekarz nie był w możności zapamiętać siły głosu, z jaką poprzednio mówił, co przedstawiało trudności w sprawdzeniu: czy słuch się poprawia, czy pogarsza. Tymczasem, jeżeli pomieścimy chorego w oznaczonej odległości od fonografu, który wydaje zawsze z jednakową siłą głos, jaki mu nadano, badanie odbyć się może z całą ścisłością. Użyteczność fonografu w pewnych chorobach nerwowych, w których mowa podlega dosyć subtelnym zaburzeniom, okazała się również niewątpliwą; przy pomocy bowiem tego prawdziwie cudownego narzędzia można badać doskonale sposób mówienia osób dotkniętych cierpieniami nerwowymi i skonstatować: czy trudność mówienia zwiększa się czy też zmniejsza.

Wiadomą powszechnie jest rzeczą, że gotowanie mięsa wieprzowego, w którym żyją włośnice (trichiny) zabija te pasożyty w zupełności i mięso w tej postaci może być spożywane bez niebezpieczeństwa dla zdrowia. Otóż już w roku 1882 robili doświadczenia pp. Bouley i Gibier i wykazali, że włośnice giną, gdy je wystawić przez godzinę na działanie temperatury wynoszącej kilka stopni zimna. Do badań używali oni szynki solonej w mieszaninie soli morskiej i saletry: być więc może, że trichiny zostały zniszczone już pod działaniem tego czynnika, zachowującego mięso przez czas dłuższy. Z tego powodu Gibier powtórzył obecnie swe doświadczenia na świeżem mięsie, dotkniętem trichinami. Wystawiał on drobne kawałki mięsa na działanie niskiej temperatury, przyczem zauważył, że włośnice, opuściwszy torebki, poruszały się daleko żywiej, niż to miało miejsce w mięsie solonym w powyższej przytoczonej sposob. Uczony pozostawiał je w temperaturze od  $-20^{\circ}$  do  $-25^{\circ}$  przez dwie godziny, a gdy następnie rozgrzał mięso i poddał je badaniu mikroskopowemu, przekonał się, że włośnice nie utraciły bynajmniej swej żywotności, poruszały się bowiem z równą szybkością, jak przed zamrożeniem. Widzimy ztąd, że oziębianie mięsa na tak krótki czas, nawet w bardzo niskiej temperaturze, nie wystarcza do zabicia w niem trichin. Jedynym pewnym sposobem jest dokładne wygotowanie we wrzącej wodzie.

Kończący się rok obecny nie przyniósł nam wielu ważniejszych wynalazków, czemu zresztą dziwić się bardzo nie można, gdyż w kilku poprzednich zrobiono tyle, iż uznojony niejako geniusz zbiorowy ludzkości, zapragnął po tyłu zdobycach chociażby chwilowego spoczynku. Za to mieliśmy wielkie dzieło wytworzone wspólną a usilną pracą narodów, w której bez kwestyi prym trzymały wytwory naukowe, artystyczne i przemysłowe Francuzów: mieliśmy wystawę powszechną paryżką, która niewątpliwie samą wiedzę nawet posunęła naprzód.

W widokach na kilka lat następnych mamy: wystawę niemiecką ruchomą, na okręcie, wystawę w Ameryce z wieżą wyższą od eiffelowskiej (1892) rozpoczęcie robót w celu rzucenia mostu na kanale La Manche, tunel między Szkocją a Irlandją, kolej w Kongo i t. p., i t. p. co gdy zostanie rozpoczęte i w części przeprowadzone, a w części odłożone do... przyszłego wieku i gdy w dodatku jeszcze otrzymamy balony, dające się kierować siłą elektryczności, — to za lat 11 i dni dwanaście ów skończony wiek pary, elektryczności i chorób nerwowych będzie miał zupełne prawo przejść do Historii z tytułem „wielkiego.“

Dr. J. Starkman.

## Życie w Japonii.

W żadnym dziś narodzie na ziemi nie dokonywa się tak silny ruch cywilizacyjny, jak w Japonczykach; żaden też nie wzbudza żywszego zajęcia w podróżniku. Codzień niemal spotykać się dziś trzeba w Japonii z nowymi objawami kultury europejskiej, a do określenia etnologicznego jej charakteru przybawają uważnemu badaczowi coraz-to nowe znamiona. Państwo Wielkiego Mikada, — bo tak go nazwie kiedyś historia — skłania się coraz bardziej swoją organizacją społeczno-polityczną ku Europie. Umysłowość, oświata, literatura, obyczaje, za przykładem instytucji politycznych, pod odradzającym wiewem myśli reformatorskiej pozbywają się pleśni, jaką je pokryła wielowiekowa zaprzalność w feudalizmie i zawsze zgubne, dla najpotężniejszych nawet narodów, zasklepienie się w sobie. Od chwili, gdy genialny człowiek porobił wyłomy w murze odgradzającym Japonię od świata, do wnętrza jej wpadło świeże, zdrowe powietrze i pod jego dobroczynnym wpływem Naród Japoński tak daleko postąpił, że ma już w sobie własny ruch cywilizacyjny, który się już powstrzymać nie da i szybciej lub później, ale ustawicznie, coraz dalej i pewniej, prowadzi go będzie po drodze rozwoju.

W roku przyszłym znacznie już obowiązują w Japonii konstytucja z sejmem dwu-izbowym, na podobieństwo pruskiego. Na dziesięć lat przedtem, już powzięte postanowienie potrzebowało przygotowania narodu w niższych zakresach swobód, aby w tym najwyższym mogło mu przynieść względnie przynajmniej dobre owoce. Dzień pierwszych wyborów sejmowych w kraju, który ćwierć wieku temu grzął jeszcze w bagnisku najgorszego, średniowieczności europejską przypominającego możnowładztwa, despotyzmu politycznego i teokracji — będzie prawdziwym świętem dla Japonii, i nietylko dla niej samej: uroczysty charakter dnia tego wystąpi przed umysł każdego człowieka, zdolnego odczuwać ludzkość wszędzie, gdzie ona jest, bez względu na stopnie długości i szerokości geograficznej.

W naturze ludzkiej tkwi zawsze silniejszy pociąg do zmysłowości — w jej filozoficznym, a nie banalnym znaczeniu, niż do rzeczy, pojęć i dóbr umysłowych. Mogą być indywidua przeciwnym unoszone prądem: człowiek gromadny przede wszystkim łąnie do zewnętrzności. Przyłgnęli też do niej Japończycy pierwsi, zanim sobie wyrobili samowiedzę postępu i zapragnęli duchowej jego istoty. W obyczajach, w stroju, w życiu towarzyskiem, wystąpiło wiele niewłaściwości, dziwactw, nawet śmieszności, jakie przynosić zwykły ze sobą wszelkie epoki przejściowe. Naród Japoński przebywa obecnie jakby ospę cywilizacji; ale ją przebędzie szczęśliwie, bo upajając się nowością, nie tonie jednak w materializmie, od którego zaczyna się zwykle niszczące działanie cywilizacji wyższych na niższe. Europejska kultura przywozi wprawdzie Japończykowi swój zbytek i zepsucie; ale szczęśliwa miara pozwoliła mu ustrzedz się zarazy. Wcale nieobojętnym w zakresie występującej tu kwestyi jest fakt wytrwałej trzeźwości ludu japońskiego, pomimo potrzeb cywilizacji europejskiej. Martwiła ta trzeźwość z początku Amerykanów i Anglików; teraz już się z nią pogodzili. Odbijają też za nią na Polinezyjczykach: wszechcywilizatorka wódka zmiata ich szybko z powierzchni ziemi.

Jeden z najnowszych podróżników po Japonii, L. Gies przysłał z Tokio zajmującą wiązanek wrażeń, spostrzeżeń i poglądów, z którymi zaznajomić pragniemy czytelnika, wybierając rzeczy najważniejsze, najsilniej o charakterze kraju i ludzi zaświadczyć mogące.

Importowana Europa szeroko już rozpiera się łokciami, ale w starej Japonii życie trzyma się jeszcze uporczywie. Oto np. wspaniałe budynki, wznoszone przez rząd, okazałe hotele, urządzone z europejskim przepychem, a ulice niebrukowane.



Tokio, olbrzymie, przeszło milionowe miasto, na ogromnej przestrzeni rozsiadłe, nie zna innych środków lokomocyi, prócz poruszanych przez ludzi. Na koncertach obok dobrze wykonanej symfonii betowenowskiej, muzyka na starojapońskich instrumentach. Na przyjęciach urzędowych u dworu obok starej odwiecznej odzieży japońskiej najpierwsza moda paryzka. Japończyk ma już dosyć swoich narodowych ubiorów, obyczajów i zwyczajów, wstydy się ich i lgnie na oslep do nowości.

Europejczykowi żal jest dawnej japońskiej sukni, w której kobiecie było swobodniej, zręczniejszej i lepiej. W nowym stroju stara się Japonka o jaknajwiększą dystynkcyę, a przy wrodzonym wdzięku niezawodnie wyrobi sobie właściwe formy; w obecnym jednak okresie przejściowym nie zawsze nad niemi panuje. Kobieta japońska jest mała, przytem bardzo zgrabna i zwinna; w obliczu ma wyraz dobroci i słodyczy, prawie dziecięcej. Kto się już raz zgodził na dany typ rasy, ten musi kobiecie japońskiej przyznać, że jest ładną. Wszystkie one, stare czy młode, używają blanszu i różu; wstydy się bowiem żółtej swej cery. W ubiorze objawiają niezmierną staranność; ubierając się, operują bardzo zręcznie dwoma metalowymi zwierciadłami, których nie braknie nigdy w gotowni szanującej swe wdzięki Japonki. Strój przedewszystkiem. *Tout comme chez nous.*

Na ulicy pokazuje się Japonka w swym powoziku (*inryksza*) pod ogromnym parasolem. Ekwi-paż jest na dwóch kołach, podobny do dawnych naszych kar strażackich, ale nadzwyczaj lekki, elegancki, powiewny. Ciągnie go jeden człowiek, *kuli* do tego tylko przeznaczony, a ciągnie z bosami nogami. W deszcz i śnieg potrzeba nieraz i trzech takich pociągowców. *Kuli* umieszcza się pomiędzy hołoblami, jak koń, i jak koń też ciągnie. Wozic swą panią—to jego przeznaczenie. Wogóle na całym Wschodzie panuje jaknajściślejszy podział pracy: ogrodnik jest tylko do ogrodu, kucharka do kuchni, pokojówka do pokojów. Europejskiej służby „do wszystkiego“ Japończycy nie znają. Kucharz dostaje na miesiąc trzydzieści *jenów* (*jen*=5 fr. 21 cent.), *Kuli*, t. j. ów człowiek-koń, — 10 *jenów* i co pół roku nowe ubranie.

Mieszkanie Japończyka jest prawie pustem. Podłoga wysłana wszędzie matami; przy ścianach trochę niziutkiego sprzętu. W wielu domach mata zastępuje i stół i krzesło. Na podłodze stoją, i przyrządy do herbaty, i zwierciadło toaletowe, i łóżko japońskie,—rodzaj pryczy z nizkiem węzłowiem—i derka, pełniącą funkcję kołdry. Staroświecki Japończyk obywa się jeszcze bez europejskiej poduszki: pod głowę wstawia się sobie węzłowiem drewniane, *makura*, pokryte wółkiem lekko wypchanym. W dzień, zarówno kobiety, jak mężczyźni,—domowi, jak i goście, zasiadają na matach, biorąc nogi pod siebie. Jest tu jeszcze Wschód, jakim go znamy w Turcyi. Tylko nadzwyczajna czystość panująca w mieszkaniach japońskich umożliwia tego rodzaju siedzenia.—Japończyk, w przeciwieństwie do Chińczyka, którego nie cierpi, jest zamiłowanym w czystości i porządku. Mając stałą wannę w domu, codziennie się kąpie.

Stanowisko kobiety napiętnowała od wieków zupełna zależność od mężczyzny. Posłuszeństwo jest hasłem jej stosunku do silniejszej połowy rodu ludzkiego. Japonka słucha najpierw ojca, potem męża: zawsze ma kogoś, kogo słuchać musi. Za mąż wychodzi najczęściej młodo, nieraz w trzynastym roku życia. Dotychczas nie czuła na sobie ciężaru posłuszeństwa... Jak będzie

w przyszłości? W figlarnej kotce może się jeszcze tygrysia objawić natura.

Nie trzeba sobie wyobrażać, żeby Japończycy nie znali naszego sportu letniego i wyjazdów na letnie mieszkania i do wód. W okolicy Tokio, w górach, znajdują się prześliczne miejscowości, leczące wodą, swobodą i powietrzem i zgromadzające liczne towarzystwa. Nawet wybredny Europejczyk może tu wygodnie i przyjemnie spędzić kilka tygodni—byle tylko kiesy nie żałował. Kwestya kiesy jest w Japonii, jak i w reszcie świata, żywotną, a pieniąż i tutaj dowodzi swej wszechświatowej potęgi. Wielkie hotele w Tokio umeblowane są przepysznie. Perskie dywany wyściełają pokoje, sienie i kurrytarze. Hotel „Pokumejka“, zbudowany przez rząd dla znakomitości europejskich, nie ustępuje w przepychu żadnemu w arystokratyczno-bankierskich hoteli: Londynu, Paryża, Wiednia lub Berlina. Rezyduje w nim klub złotej młodzieży i wogóle śmieszki towarzyskiej. Garną się do niego Europejczycy, spragnieni towarzyskości. Europejczyk zowie się w Tokio „rezydentem“. Po pracy bawi się, jak może; gra teatru amatorskie—jeśli mu do nich kobiet nie zbraknie; przystraja sobie drzewka na Boże Narodzenie; na Wielkanoc obchodzi zwyczaj narodowe: ale mu to wszystko nie zastąpi życia w ojczyźnie. Większość szuka chleba w zawodzie handlowym. Z Anglii, Ameryki i Niemiec zebrała się już gromada nauczycieli uniwersytetów i akademii japońskich. Jest też sporo już w służbie dyplomatycznej. Ale to wszystko sami mężczyźni; kobiet, żon i córek, niewiele.

Zawód handlowy dostarcza tu Europejczykom hojnych zarobków. Liczba kantorów europejskich i amerykańskich wzrasta bez przerwy, a pracujący w nich są dobrze wynagradzani i, poznawszy drogi zbytu japońskiego, prędko zakładają przedsiębiorstwa na własną rękę, jeśli tylko zupełny brak kapitału nie stanie przedsiębiorczości na przeszkodzie. Handel Japonii rozwija się świetnie. Europejczycy mają dla siebie otwartych ośm portów: Yokohama (Kanagawa), Hiogo, Osaka, Simoda, Nigata—na Nipon, Hakodate na Jezu, Nagasaki na Kiu-siu i Nawa na archipelagu Lieu-Kieu. Do samego portu kanagawskiego, zaopatrującego Tokio, w r. 1887 przywieziono z zagranicy towarów na 5.002.654 f. st., a ta summa w roku następnym wzrosła jeszcze do 6.391.707 f. st. Wywóz równoważył się prawie z przywozem i doszedł w ostatnim roku do 6.276.743 f. st., rok zaś poprzedzający wykazał blisko 350.000 f. st. <sup>1)</sup> przewyższki na rzecz Japonii. Daje to miarę ekonomicznej zasobności i żywotności tego, hojnie od natury wyposażonego, kraju.

Dowodzą tej żywotności także i liczba naw handlowych japońskich, zawijających do portu kanagawskiego. Z ogólnej summy 2.574 statków zarejestrowanych w roku 1888 przypada na samą Japonią 2.211, na Afrykę 234, Niemcy 53, Amerykę 41 i Francją 28. Statki japońskie są małe, ale mocne, zwinne i dobrze obsługiwane. Obecnie już do wszystkich ośmiu otwartych portów zawijają przez ciąg całego roku statki europejskich, amerykańskich, indyjskich i australskich—półtora tysiąca, a wartość ogólna wywozu daje się oznaczyć w summie 40 milionów *jenów*, z przewyżką jakich 5 milionów nad przywozem. Jest to już dzisiaj dla całego narodu niewysychające nigdy źródło bogactwa.

Uniwersytet w Tokio zajmuje osobną dzielnicę *Kagajaszyki*. Grunt, na którym się wznosi uczel-

<sup>1)</sup> W 1 funcie sterlingu angielskim mieści się niecałe 5 „jenów“ japońskich.

nia, bursy dla studentów, mieszkania professorów, gabinety i muzea — należał niegdyś do jednego z ukróconych przez dzisiejszego Mikada *dajmiosów*. Kilkunastu professorów europejskich prowadzi wykłady, obok znaczniejszego owiele zastępu tuziemców w Europie wykształconych. Młodzież pilnie słucha, dobrze się uczy, tłumnie ciśnie się domieszkań professorskich na *Conversatoria*, a poziom nauki uniwersyteckiej, pomimo tak świeżych jeszcze początków, jest już wcale przyzwoitym. Nauczyciele cudzoziemcy nie cieszą się popularnością; Japończyk patrzy na nich z niedowierzaniem i lekceważeniem, jako na najmitów, przybywających ze światłem po pieniąż. Młódź uniwersytecka, idąc w ślady Anglików, wiąże się w korporacje wioślarskie i gymnastyczne, i na pięknym jeziorze Sunadagawa, pod samem Tokio, wyprawia sobie regaty.

(Dokończenie nastąpi.)

— **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem** przypomina p. p. artystom-rzeźbiarzom, iż w m. Stycznia 1890 roku przypada termin wystawy konkursowej *działu rzeźby*, na którą przyjmowane będą wszelkiego rodzaju dzieła rzeźby, snycerstwa i medalierstwa, wykonane w ciągu trzech lat ostatnich i które poprzednio nie znajdowały się na wystawie Towarzystwa, czy też na innej wystawie w Warszawie. Nie kwalifikują się wszelkie kopie i dzieła artystów zmarłych na trzy lata przed otwarciem wystawy. Deklaracye w formie listów komitet przyjmuje do 15 Grudnia r. b. Dzieła nadesłane być winny do lokalu Towarzystwa najpóźniej 31 Grudnia r. b. do godziny 6 wieczorem. Szczegółowy regulamin wystawy wydaje, na żądanie, Kancellarya Towarzystwa.

## OD WYDAWCY.

„Bluszcz” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 10-ty powieści pod tytułem: **Nauczycielka**, przez Emmę Marschall.

**TREŚĆ:** Święta w rodzinie, przez M. Ilnicką. — Aloizy Żółkowski, przez Stanisława Krzemińskiego. — Adjutant króla jegomości opowiadanie z drugiej połowy zeszłego stulecia, napisał Mieczysław Krzywosąd-Kepieński. — Józef Verdi. — Czytanie dla młodzieży przez M. Ilnicką. — Z działu przyrody. Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych, przez Dr. J. Starkmana. — Życie w Japonii.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 10-ty powieści pod tytułem: **Nauczycielka**, przez Emmę Marschall. — Przegląd mód. — 38 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 6 Декабря 1889 года.